

Dlaczego globaliści uwzięli się na Serbów?

18 marca 2024

Z wszystkich narodów słowiańskich Serbowie są najbardziej charakterni. Kiedy złowrogie siły NATO bombardowały im stolicę, serbska młodzież własnym ciałem broniła mostów nad Dunajem w Belgradzie. Kiedy wyrwano im Serce odbierając Kosowo, ich duchowy przywódca postawił się najgroźniejszemu i najpotężniejszemu bandytom na świecie.



Globaliści nieustannie fundują im upokorzenia i cierpienia, ale serbski naród znosi to z godnością i pokorą. Po raz kolejny odczułam wewnętrzną potrzebę wysłuchania naszych słowiańskich braci i sióstr z południa, by następnie dotrzeć z ich przekazem do polskich czytelników. Wymowną okazją do przypomnienia niesprawiedliwości jaka uderzyła w Serbów, jest 20. rocznica „marcowego pogromu”.

W dniach 17–18 marca 2004 roku dokonano zmasowanego ataku na serbską ludność cywilną w Kosowie i Metochii. Bezpośrednią przyczyną było utonięcie w rzece dwóch albańskich chłopców. Kosowscy Albańczycy – którzy z namaszczenia globalistów panoszą się na serbskiej ziemi – obciążyli za to winą

społeczność serbską. Zarzuty nigdy nie zostały potwierdzone, a jednak rozkręciły falę niepohamowanej agresji ludności albańskiej na miejsca zamieszkania mniejszości serbskiej.

Wskutek ataków na serbskie enklawy zginęło co najmniej 19 osób, a 954 zostało rannych. Szacuje się, że w wyniku tych działań wypędzono 4000 Serbów. Blisko 900 serbskich domów zostało zburzonych. Albańczycy zniszczyli lub zdewastowali 35 świątyń Serbskiej Cerkwi Prawosławnej.

Były to najkrwawsze wydarzenia od czasów zakończenia wojny z lat 1990. Co znamienne, atakom na Serbów nie zapobiegli wysłannicy globalistów. Stacjonujące w Kosowie jednostki KFOR – międzynarodowe siły [rzekomo] pokojowe NATO – nie wypełniły należycie swojej powinności, jaką było pilnowanie porządku i zapewnianie bezpieczeństwa miejscowej ludności.

NIEZABLIŻNIONE RANY

W przededniu okrągłej rocznicy „marcowego pogromu” porozmawiałam z naocznym świadkiem tragedii. Zvonko Mihajlović mieszka w Štrpcach, serbskiej enklawie w Kosowie. Na wstępie wyznał, że każde przypomnienie o tamtych wydarzeniach powoduje odnowiony smutek.

Mój rozmówca potwierdził, że w gminie Štrpce były dwie ofiary. Ojciec i syn zostali zamordowani na progu domu we wsi Drajkovac. Ojciec zginął na miejscu, syn zmarł w ciągu dnia w wyniku odniesionych obrażeń.

„Później dowiedzieliśmy się, że dałoby się go uratować, gdyby była szybsza reakcja KFOR-u, który nie chciał przewieźć ранego młodego mężczyzny do bazy Bondsteel i udzielić mu pomocy medycznej, dzięki czemu uratowano by mu życie” – wspominał z ubolewaniem Mihajlović.

Mężczyzna podkreślił, że ucierpiało wtedy wielu jego rodaków. Przypominał, że spalono liczne domy, niektórym zabrano majątek

ruchomy. Wypędzeni do dziś nie mogą wrócić na swoją ojcowiznę, zdemastowano też wiele cerkwi i klasztorów.

Mihajlović uważa, że powodem takiego działania Albańczyków jest chęć zatarcia wszelkich śladów serbskiej egzystencji w Kosowie i Metochii. „Najgorsze jest to, że całe wydarzenie rozegrało się na oczach całej światowej opinii publicznej, która była jedynie cichym obserwatorem. Tego dnia w Kosowie i Metochii umarło prawo międzynarodowe” – dodaje rozgoryczony.

Mój rozmówca podkreślił, że mimo upływu 20 lat nikt nie został pociągnięty do odpowiedzialności za takie przestępstwo. Jego zdaniem prowadzi to tylko do jednego wniosku: „Wszystko zostało zorganizowane i zatwierdzone przez jakiś wielki ośrodek władzy na świecie, przede wszystkim przez Amerykę”.

Zvonko Mihajlović zaznaczył, że pozycja Serbów w Kosowie i Metochii pogarsza się z dnia na dzień, a cały świat przygląda się temu w milczeniu.

„Naciski płynące ze wszystkich stron wygaszają pozostałe serbskie instytucje, bez których Serbowie nie mają życia. Zabrania się używania serbskiej waluty dinar, co znacznie komplikuje życie Serbów. Towary ze środkowej Serbii są zabronione Serbom. Zakazuje się wwozu leków, żywności i artykułów pierwszej potrzeby. Jest tylko jeden cel: czystka etniczna Kosowa i Metochii z pozostałych Serbów” – wyliczał mieszkaniec Kosowa.

Mihajlović ma szczerą nadzieję, że prędzej czy później nastąpi jednak zmiana układu sił na świecie. „Aby powstał bardziej sprawiedliwy świat, w którym będzie miejsce dla Serbów w Kosowie i Metochii, którzy chcą jedynie żyć w pokoju i dobrobycie, jak reszta normalnego świata” – podsumował.

O prawa Serbów upominał się Władyka Artemije (1935-2020). Jako biskup Eparchii Raszko-Prizrenskiej i Kosowsko-Metochijskiej wszczął bezprecedensowy spór prawa międzynarodowego. Przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu zażądał

ochrony i odszkodowania za gwałty uczynione (pod okiem KFOR-u) na majątku Serbskiej Cerkwi Prawosławnej oraz duchowieństwie i narodzie serbskim w Kosowie i Metochii. Za niezłomną postawę został srogo ukarany.

WYGNANY ZA PRAWDĘ

Drobnej postury Władyka Artemije miał wielkiego ducha i mocny charakter. Zaskarżył Anglię, Niemcy, Włochy i Francję, które mają swoje strefy odpowiedzialności w Kosowie. Stany Zjednoczone nie były objęte skargą, wszak nie podlegają pod europejski wymiar sprawiedliwości.

W oskarżeniu duchowny wykazał, że KFOR przybył do Kosowa 12 czerwca 1999 roku, na podstawie porozumienia kumanowskiego i Rezolucji 1244 z zadaniem zapewnienia powrotu wszystkich wygnanych osób i zabezpieczenia spokojnego życia wszystkim obywatelom. Tego zadania KFOR nie wykonał wobec Serbów, natomiast zapewnił parasol ochronny Albańczykom.

W wywiadzie dla „Głosu Belgradzkiego” z 2019 roku, Władyka Artemije powiedział wprost: „Po swoim przyjeździe KFOR zabezpieczył szybki powrót jedynie Albańczykom, którzy uciekli albo z powodu wygnania, albo w wyniku celowej manipulacji politycznej udali się na wygnanie by stworzyć kryzys humanitarny, który następnie posłużył jako powód interwencji NATO w Serbii (wtedy Jugosławii). Ale KFOR nie zabezpieczył spokojnego życia wszystkim obywatelom. Wraz z powrotem Albańczyków rozpoczęło się wygnanie narodu serbskiego i to już od pierwszego dnia obecności KFOR-u”.

Duchowny dodał: „Pod opieką KFOR-u, czyli, innymi słowy, NATO i Ameryki, w ciągu pierwszych kilku miesięcy, pierwszego roku, z KiM wygnano około 250.000 Serbów, wśród nich również Romów, Czarnogórców i innych. W przeciągu kolejnych 20 lat do KiM wrócił może 1-2 procent wysiedlonych, podczas, gdy w tym samym czasie wyjechało jeszcze więcej”.

W dalszej części wywiadu Władyka Artemije alarmował, że dramat Serbów nie ustaje. „Wygnanie i prześladowanie trwają do dzisiaj, wbrew wszystkim ustępstwom, które czyniła, niestety, każda władza w Serbii, łącznie z dzisiejszą, niezależnie od jej orientacji. W przeciągu tylko pierwszych czterech lat zniszczono 115 cerkwi i monasterów”.

Rozmówca „Głosu Belgradzkiego” nawiązał też do tragedii jaka rozegrała się podczas „pogromu marcowego”. Wyliczył, że wraz z tamtym atakiem, na przestrzeni lat zostało zniszczonych łącznie 150 prawosławnych świątyń.

Początkowo niezłomna postawa biskupa Eparchii Raszko-Prizrenskiej i Kosowsko-Metochijskiej spotkała się z uznaniem i poparciem Serbskiej Cerkwi Prawosławnej. Z czasem jednak pojawiły się naciski, by wycofać ze Strasburga oskarżenie. Władyka Artemije przekonany o słuszności sprawy, nie ugiął się pod presją. Była to kolejna przyczyna do wzmożenia nagonki na duchownego.

Należy przy tym zaznaczyć, że trzymający się zasad i prawdy Władyka Artemije był także przeciwny ekumenizmowi, który uważał za największą herezję i zagrożenie dla chrześcijaństwa. Mimo niezwykle trudnych okoliczności, odnowił życie mnisze w Kosowie, zachowując autochtoniczną prawosławną tradycję.

Tymczasem idąca za duchem modernizmu Serbska Cerkiew Prawosławna ugięła się pod naciskami płynącymi ze świata. W efekcie, biskupa Eparchii Raszko-Prizrenskiej i Kosowsko-Metochijskiej – który pozostał wierny tradycji apostoelskiej i bronił praw kosowskich Serbów – pod spreparowanym zarzutem pozbawiono monaszeństwa, odłączono od Cerkwi i wygnano z Kosowa.

Zvonko Mihajlović skomentował to następująco: „Każda próba zorganizowania Serbów jest na początku tłumiona. Dobrym tego przykładem jest biskup Artemije, który został wygnany z Kosowa i Metochii tylko dlatego, że był duchowym przywódcą Serbów. W

jego prześladowania zaangażowani byli sami Serbowie z poprzedniego rządu, przy braku chęci walki o serbskie interesy narodowe”.

WALKA O SERBSKIE DUSZE

Władcyka Artemije zwykł mawiać: „Serbia to cerkiew, a Kosowo jest ołtarzem. Bez ołtarza nie ma cerkwi. Bez Kosowa nie ma Serbii”.

Zapewne właśnie dlatego globaliści naciskają na całego, by zmiekczyć stanowisko Belgradu ws. Kosowa. Mówiąc kolokwialnie, wabią Serbów przystąpieniem do Unii Europejskiej, pod warunkiem wyrzeczenia się Kosowa. Takim obrotem spraw najwyraźniej zainteresowane są marionetkowe władze (trzymane na smyczy globalistów), z prezydentem Aleksandrem Vuczicem na czele.

Żeby lepiej zrozumieć na czym polega perfidia globalistów, należy przypomnieć historię, która zbudowała tożsamość serbskiego narodu. Mowa o bitwie na Kosowym Polu w 1389 roku. Wojska osmańskie dowodzone przez sułtana Murada I pokonały wtedy dowodzoną przez serbskiego księcia Łazarza armię, złożoną z Serbów i ich sojuszników.

Święty książę Łazarz miał świadomość, że bitwa przeciwko muzułmańskiej potędze będzie przegrana. Dlatego nie wyruszył do walki w celach militarnych. Ruszył na bój, ponieważ nie mógł pozwolić na to, żeby wiara chrześcijańska została podeptana. A więc z punktu widzenia księcia Łazarza i serbskiego narodu, wyjście na Kosowe Pole i sprzeciwienie się Turkom, było daniem świadectwa wiary.

Kronikarze opisują nawet, że ruszyli oni do boju z cerkiewnymi chorągwiami i ubrani w najlepsze stroje. A zatem, to co przed wiekami wydarzyło się na Kosowym Polu, było wyznaniem wiary. W związku z tym, śmierć tych ludzi była męczeństwem za wiarę. Nazywa się to testamentem kosowskim, którego sens jest

następujący: „Ziemskie królestwo jest na krótko, a Królestwo Niebiańskie na wieki, na zawsze”.

Wydarzenie to przez kolejne wieki kształtowało tożsamość serbskiego narodu. Książę Łazarz I Hrebeljanović i jego armia wyruszyli na pole boju z powodu Królestwa Niebiańskiego, a nie z powodu polityki. Ich ciała leżą w ziemi na Kosowie i są świętymi relikwiami. Dlatego ziemia kosowska, która nosi w sobie kości Męczenników jest ołtarzem Serbii. Czyli nie do pomyślenia jest Serbia bez Kosowa.

Jeżeli Serbowie oddadzą Kosowo i wyrzekną się swojej świętej ziemi, jeśli Serbia uzna Kosowo jako odrębne państwo Albańczyków (namiestników USA i UE) – to w tym momencie skończy się Serbia.

Należy przy tym odnotować, że w wyludnianiu Kosowa z Serbów miał też swój udział komunista Josip Broz Tito (1892-1980), chorwacki przywódca Jugosławii. W czasach jego panowania wielu Serbów wyjechało z Kosowo (np. byli zwabieni perspektywą pracy w innym regionie), a ich miejsce zajmowali Albańczycy.

Następnie wtręciła się Amerykanie. Po rozpadzie Jugosławii i strasznej wojnie, która podkrećana była z zewnątrz, Stany Zjednoczone zapragnęły mieć na Bałkanach swoją bazę. Amerykanie dogadali się z Albańczykami, których ustanowili namiestnikami w Kosowie.

Obecnie jest to terytorium sporne ze stolicą w Prisztinie i państwo częściowo uznawane na arenie międzynarodowej, które ogłosiło swoją niepodległość 17 lutego 2008 roku. Władze w Belgradzie uważają [jeszcze] Kosowo za prawną część terytorium Serbii, w czym mają poparcie niektórych państw, m.in. Rosji i Chin. De facto jest to teren okupowany przez USA.

Amerykanie traktują Kosowo jako kolonię i przyjeżdżają tam jak do siebie. Tego stanu rzeczy nie chciał zaakceptować Władysław Bartoszewski, który postawił się najpotężniejszemu mocarstwu świata. Okazją do wykazania się niezwykłą odwagą, była

wiadomość ogłoszona przez Ambasadę Stanów Zjednoczonych w Prisztinie: „Wiceprezydent USA Joseph Biden planuje odwiedzić monaster Visoki Dečani w dniu 21 maja 2009 roku”.

Władyka Artemije, jako biskup Raszko-Prizrenski stanowczo przeciwstawił się temu i nie udzielił błogosławieństwa na wejście do świątyni przedstawiciela amerykańskiej administracji [okupanta]. Święty Synod Serbskiej Cerkwi Prawosławnej nie miał już jednak takiego kręgosłupa i ostatecznie wydał decyzję o pozwoleniu na wejście Bidena.

Wierny prawdzie i serbskiemu narodowi Władyka Artemije został wygnany z Kosowa, a na cześć okupanta Joe Bidena nazwano tam ulice.

Za swoim duchowym przywódcą zdecydowali się pójść na wygnanie mnisi i mniszki. Od tamtej pory Eparchia Raszko-Prizrenska i Kosowsko-Metochijska funkcjonuje na wygnaniu. Cerkiew katakumbowa pod przywództwem obecnego biskupa Ksenofonta posługuje wiernym nie tylko w Serbii, ale wielu krajach świata, w tym Zachodniej Europie, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

NA PRZEKÓR GLOBALISTOM

W 16. rocznicę ogłoszenia tzw. niepodległości Kosowa, byłam akurat w Belgradzie. Stolica Serbii nosi liczne ślady prześladowania. W XX wieku miasto było bombardowane aż 20 razy. Niektórych obiektów celowo nie odbudowano, aby przypominały o tragicznej historii Serbów. Gdzieś tam spostrzegłam murale zagrzewające serbską armię do odbicia Kosowa.

W Belgradzie ugościł mnie Dimitri Novaković, serbski prawnik, a prywatnie wnuk wyjątkowej postaci. Jego dziadek to profesor Radivoje Pešić (1931-1993), lingwista, poeta, tłumacz i badacz cywilizacji Vinča.

Dimitri zorganizował dla mnie spotkania z ciekawymi ludźmi. W kawiarni Antikvarnica poznałam jego mamę Vesnę Pešić, właścicielkę wydawnictwa „Pešić i sinovi”. Towarzyszyli jej przyjaciele Aleksander Dorin – dziennikarz śledczy, specjalizujący się w byłej Jugosławii oraz Žak Lujić, przedsiębiorca i obieżyświat, który studiował politologię w Mediolanie. Žak uwielbia filozofować. Na wstępie oznajmił, że nie znosi demokracji. Tym szczerym wyznaniem zyskał we mnie sojusznika.

Nazajutrz nasza piątka spotkała się w Perunov Konak, barce urządzonej w stylu vintage. Właścicielem uroczego hoteliku z kawiarnią nad rzeką Dunaj jest Aleksander. Nietypowe miejsce powstało od idei antyglobalistycznej.

„Globalizacja zniszczyła wszystkie wartości, od rolnictwa, architektury po tradycję. Dziś wszystko jest brzydkie, ale funkcjonalne, a jedynym celem np. nowych budynków jest to, żeby bogaci ludzie mogli gdzieś „upchnąć” ludzi, nie ma w tym żadnej estetyki i tradycji. Chciałem zrobić to miejsce w tradycyjnym serbskim stylu. Sto lat temu ludzie wciąż wiedzieli, jak budować domy i na czym polega tradycyjna architektura. Chciałem stworzyć coś innego niż nowoczesna architektura, którą można zobaczyć we współczesnym Belgradzie” – wyjaśnił gospodarz.

Spotkaniu w zacisznym miejscu towarzyszyły rozmowy na poważne tematy. Aleksander Dorin jest autorem książek o Srebrenicy. Jego publikacje, to m.in. „Srebrenica: historia społecznie akceptowalnego rasizmu” czy „Srebrenica – taka, jaka była naprawdę” (współautorstwo Zoran Jovanović).

Przeciętny czytelnik z Polski (oraz na Zachodzie) na temat „masakry w Srebrenicy” ma jednoznaczne wyobrażenie: ludobójstwo na bośniackich muzułmanach popełnione przez Siły Zbrojne Republiki Serbskiej w czasie wojny w Jugosławii. Tymczasem według Dorina oficjalna wersja na temat wydarzeń w Srebrenicy jest całkowicie fałszywa. Na czym dziennikarz oparł

swoje dochodzenie i wnioski?

„W ciągu kilkudziesięciu lat badań sprawdziłem kilka tysięcy dokumentów pochodzących z ONZ, holenderskiego batalionu sił pokojowych w Bośni i Hercegowinie, armii bośniackich Serbów (Republiki Serbskiej), armii bośniackiej, instytucji amerykańskich i archiwów Trybunału Haskiego. Moim celem było zbadanie źródeł i pochodzenia nieserbkiego, żeby nikt nie mógł mi zarzucić, że to serbska propaganda” – wyjaśnił autor książki.

Podczas śledztwa dziennikarz doszedł do kilku odkryć. W jednej książce skoncentrował się na masowych mordach Serbów (przez muzułmanów) w wioskach otaczających Srebrenicę w latach 1992–1995 w regionie środkowej Driny i udowodnił, że zginęło około 3260 Serbów, z czego większość z zabitych została zmasakrowana.

„Druga historia dotyczy tzw. „ludobójstwa” Bośniaków dokonanego przez siły serbskie. Podobno zabito około 7000–8000 bośniackich więźniów. To nie wydarzyło się naprawdę. Do tego samego wniosku doszli także Edward S. Herman, izraelski profesor Gideon Greif, niemiecki publicysta Jürgen Elsässer i wielu innych. Moim zdaniem udowodniono, że oficjalna wersja nie ma nic wspólnego z prawdą” – wyjaśnił mój rozmówca.

Dorin przyznał, że w związku ze swoją aktywnością otrzymał wiele gróźb ze strony członków społeczności muzułmańskiej. Zadzwonili do niego z Prokuratury Okręgowej w Bazylei, gdzie mieszka, i ostrzegli, żeby nie krytykował zachodnich mediów. Ostatecznie w 2015 roku porwała go szwajcarska specjalna policja literacka i spędził 4 miesiące za kratkami.

Na moje pytanie, dlaczego jego zdaniem historia o Srebrenicy jest niewygodna, powiedział wprost: „To podobna sytuacja, jak w tle ataku na World Trade Center. Potrzebowali pretekstu do ataku na kilka krajów w imię walki z terroryzmem, ale w rzeczywistości ich celem była okupacja i grabież. W przypadku

Srebrenicy potrzebowali ważnego (kluczowego) wydarzenia, aby oficjalnie zaatakować Serbów i utrzymać ich na miejscu (kontrolować) przez następne kilka dekad”.

OCALIĆ TOŻSAMOŚĆ

Kolejny temat poruszony na barce był znacznie przyjemniejszy. Vesna Pešić opowiedziała mi o odkryciu swojego ojca, który był badaczem neolitycznej kultury Vinča. Cywilizacja ta rozwijała się między 7000 a 4000 lat p.n.e. na obszarze Europy południowo-wschodniej – dzisiejszych Węgrzech, Bośni, Macedonii Północnej, ale z centrum na terenach dzisiejszej Serbii.

W miejscowości Vinča na przedmieściach Belgradu, znaleziono gliniane tablice z wrytymi literami. Nad inskrypcjami zaczął pracować paleolingwista Radivoje Pešić, którego badania dotyczyły starych języków i pisma.

Naukowiec porównał je z alfabetem etruskim i stwierdził, że są podobne. Dokonał systematyzacji znaków znalezionych w Vinčy. Na wszystkich terenach, na których rozprzestrzeniała się ta kultura neolityczna, wielokrotnie odnajdywano podobne znaki na ceramice.

Podstawową ideą Pešicia było to, że znaki te były rodzajem komunikacji. Porównał je z innymi starożytnymi alfabetami i wykazał, że wszystkie zawierają pewną liczbę tych samych znaków (grafemów) znalezionych w Vinča. Doszedł do wniosku, że inne kultury prawdopodobnie zapożyczyły je od Vinčy, ponieważ Vinča jest od nich znacznie starsza.

Kiedy porównał najczęściej powtarzające się znaki języka Vinča z alfabetem etruskim, okazało się, że jest to ten sam alfabet. Doszedł także do wniosku, że znaki Vinča mają wszystkie elementy alfabetu fenickiego – najstarszego zachowanego linearnego alfabetu świata. To przenosi wynalezienie pierwszego alfabetu z Bliskiego Wschodu na Bałkany, do Kotliny

Dunajskiej. Praca nad skrypcem Vinča jest jego wkładem w światowe językoznawstwo i paleolingwistykę.

Swoje wnioski prof. Pešić opublikował w książce „Vinčansko pismo”. Na podstawie analiz prasłowiańskiego pisma, Serbowie mają podstawy twierdzić, że są nie tylko najstarszym narodem na Bałkanach, ale w ogóle najstarszym narodem w Europie.

Główną ideą wydawnictwa założonego 1995 roku przez Vesna Pešić jest przedstawienie licznych przykładów i faktów z przemilczanej historii. «Znajomość własnej historii ma ogromne znaczenie dla każdego człowieka indywidualnie, ale także dla narodu w ogóle. Narody, które się wyrzekają, zapominają o swojej historii, znikają z historii. Żeby Serbom to się nie zdarzało, założyliśmy nasze wydawnictwo» – uzasadniła córka słynnego badacza.

Kobieta uważa, że wyciszanie i fałszowanie historii nie dzieje się bez przyczyny. „Celem takiego działania jest wywołanie poczucia wędrowca, który przybył na Bałkany nie wiadomo skąd. I pewnego dnia, gdy ktoś tak zdecyduje, możemy zostać stąd wyrzuceni. Najlepszym przykładem tego, co próbuję powiedzieć, jest to, co dzieje się dzisiaj z Serbami w Kosowie, w sercu serbskiej duchowości. Wypędza się stamtąd Serbów, a ziemię odbiera się nam siłą” – podsumowała szefowa wydawnictwa „Pešić i sinovi”.

Fałszowanie historii to nie jedyne zagrożenia czyhające na Serbów. Następnego dnia, Vesna zapoznała mnie ze swoim przyjacielem o greckich korzeniach. Diogenis Valavanidis jest przewodniczącym Centrum Ochrony Tożsamości Chrześcijańskiej. Podczas bezpośredniej rozmowy opowiedział mi o przesłaniu, w którym przestrzega przed takimi zjawiskami jak afirmacja satanizmu czy ideologia LGBT.

Valavanidis uważa też, że Cerkiew Prawosławna jest zagrożona bardziej niż kiedykolwiek w swojej historii. Jako przyczynę wskazuje ingerencję zachodniego wywiadu i politycznych

ośrodków władzy, którzy przyczyniają się do rozprzestrzeniania herezji i tym samym podziałów wewnątrz Prawosławia.

WYSŁUCHAĆ ŚWIADKÓW HISTORII

Któregoś wieczora, Dimitri przyprowadził mnie do swojej przyjaciółki Sonji i jej matki Ljubicy Rakočević (z domu Cerovina). Kobiety pochodzą z Kosowa. Uroczą starszą pani urodziła się w wiosce Ošljane. Zgodziła się opowiedzieć mi swoją bolesną historię, która jak w soczewce opisuje dramatyczne losy serbskiego narodu w Kosowie.

Kiedy II wojna światowa dotarła do Jugosławii, Ljubica miała zaledwie 6 lat. Z obawy przed Albańczykami – jeden z nich przyszedł do domu i groził jej ojcu śmiercią – cała rodzina opuściła wioskę. Wrócili dopiero po wojnie.

Pani Ljubica skończyła gimnazjum nauczycielskie i wyjechała na studia do Belgradu. Po studiach dostała pracę w szkole w Prisztinie i wyszła za mąż. Nie mieli wystarczającej liczby nauczycieli, więc prowadziła zajęcia także dla albańskich uczniów. Na początku nie było żadnych problemów.

„Szanowałam ich i traktowałam jak równych sobie. Dopiero później, w latach 1960., zaczęły się problemy i można było dostrzec różnicę między studentami z Serbii i Albanii oraz drobne sprzeczki między nimi. Tolerowaliśmy to wszystko, żeby zachować „pokój w domu”. Z czasem sytuacja w szkole stawała się coraz gorsza. Albańscy studenci niszczyli i burzyli napisy w języku serbskim. Albańscy nauczyciele nie chcieli wpływać na nich, aby przestali” – relacjonowała kobieta.

W 1968 roku doszło do demonstracji Albańczyków, podczas których rzucono kamieniami w szkołę. Ljubica Rakočević zabrała dzieci z klasy do domu i zadzwoniła do ich rodziców, by je odebrali. Któregoś dnia jeden z jej uczniów został zaatakowany na ulicy przez całą klasę Albańczyków. Kobieta krzyknęła, żeby przestali, i udało jej się go uratować. Ten chłopiec był synem

serbskiego policjanta w Prisztinie, więc zdaniem pani Rakočević, zaplanowali to wszystko już wcześniej. Tymczasem napięcia nie ustawały.

„Kiedy zmarła moja matka, odwiedziłam ojca i zostałam zaatakowana przez grupę albańskich dzieci. Wiedzieli, że jestem Serbką, bo byłam ubrana na czarno. Nigdy więcej nie poszłam tą ulicą. Moi rodzice musieli opuścić wieś Ošljane z powodu ciągłego nacisku Albańczyków. Pewnego razu Albańczycy wpuścili bydło na nasze podwórko, a kiedy moja mama wyszła z domu, aby przepędzić bydło, z pola wyszło 5-6 Albańczyków i pobili ją, dlatego została zabrana do szpitala. Rodzice zgłosili to policji, ale nic się nie stało. Potem moi rodzice przenieśli się do Prisztiny” – powiedziała moja rozmówczyni.

Ljubica Rakočević potwierdziła to, co słyszałam już wcześniej na temat zaplanowanej strategii Albańczyków. „Kupowali domy na początku i na końcu wsi, płacąc znacznie powyżej normalnej ceny. Stopniowo nabywali inne domy w środku, przez co życie Serbów stawało się nie do zniesienia, więc byli zmuszeni sprzedać domy i wyjechać. Serbom, którzy pozostali ostatni, nie udało się uratować niczego, nawet rzeczy i narzędzi z domu. To przydarzyło się moim rodzicom. Opuścili swój dom nie zabierając ze sobą żadnych rzeczy. Mój ojciec pozwał albańską sąsiadkę, która wyrzuciła ich z domu, ale sędzia stwierdził, że może złożyć tę skargę jedynie ad acta”.

W 1999 r., kiedy zaczęło się bombardowanie, Ljubica i jej mąż widzieli wielu Albańczyków biegających po ich ulicy, którzy twierdzili, że wypiera ich serbska armia. Zdaniem kobiety żaden Albańczyk nie był ścigany ani wypędzany, a ich zachowanie było inscenizowane i zaplanowane, z myślą o interwencji NATO.

Podczas bombardowań często strzelano w pobliżu miejsca zamieszkania państwa Rakočević. Bali się zarówno spadających bomb, jak i tego, że Albańczycy przyjdą do ich domu z zamiarem zabicia. Dlatego zdecydowali się wyjechać do Czarnogóry, gdzie

mieli domek letniskowy.

„Kiedy bombardowania ustały i chcieliśmy wrócić do Prisztiny, mieliśmy nadzieję, że KFOR nas ochroni. Nasi sąsiedzi kazali nam nie wracać, bo na ulicach strzelali do Serbów. Albańczycy wyjmowali Serbów z samochodu i zabijali na oczach KFOR-u. Nigdy nie wróciliśmy do Kosowa i cały nasz dobytek tam został. Mój mąż zachorował z powodu tej sytuacji. Dostaliśmy wiadomość, że z naszego domu Albańczycy zabrali wszystkie nasze rzeczy. Płakałam wtedy, nie wcześniej. Tam została moja ikona rodziny, albumy rodzinne” – wyznała kobieta.

Jej córka Sonja dodała, że pojechała tam kilka lat później, by ostatecznie sprzedać dom za bardzo małe pieniądze. Ljubica wtrąciła: „W latach 1970. pewien Albańczyk chciał kupić nasz dom w Prisztinie i zaproponował nam napisanie żądanej sumy. Inny zaoferował nam 1,5 miliona marek niemieckich, co jak na tamte czasy było sumą szaloną. Mój mąż nie chciał o tym słyszeć, bo tam były nasze korzenie. W tym domu, w Prisztinie, urodził się mój zmarły mąż”.

Sonja Rakočević powiedziała, że kiedy jej ojciec był chory w szpitalu, poprosił ją, aby przyniosła mu grudkę ziemi z podwórka rodzinnego domu. Pojechała do Prisztiny i przeraziła się, gdy zobaczyła jak Albańczycy zdewastowali i okradli ich dom, zanim jeszcze został sprzedany. Albańczyk, który ostatecznie kupił ich dom, miał kilka stacji benzynowych. Sonja przypuszcza, że prawdopodobnie kupił dom w celu prania brudnych pieniędzy.

Nawiązując do czasów mieszkania w Kosowie, Sonja powiedziała, że od połowy lat 1960. pobicia stały się codziennością, a ona osobiście doświadczyła molestowania. „Kiedy miałam 14 lat, w biały dzień szłam ulicą, a grupa nieco starszych Albańczyków otoczyła mnie i symulowała stosunek seksualny. Poza tym bardzo często zdarzało się, że albańscy policjanci mówili coś obraźliwego w sensie seksualnym” – wyznała kobieta. Dodała, że Albańczycy mają taką mentalność, iż odważni są tylko w grupie.

W przeciwnym razie udają, że są przyjacielscy i pokorni.

Na początku lat 1980., po śmierci Tito, odbyły się wielkie demonstracje Albańczyków. „Wszystko było dobrze zorganizowane i zaplanowane, nic nie było spontaniczne. Przyjechała policja i wojsko, pobili protestujących, ale wszystkie opowieści o tym, jak „przejechały ich czołgi” i tym podobne, to kłamstwa. W tym samym roku skończyłam liceum i wszyscy otrzymaliśmy dyplomy w języku albańskim” – podsumowała Sonja Rakočević.

Kiedy spędziłam kilka godzin u Ljubicy i Sojni, mimo bolesnych wspomnień, na ich twarzach dostrzegłam ogromną radość. Były bardzo szczęśliwe i wdzięczne, że odwiedziła je dziennikarka z Polski i wysłuchała ich historii. Niezwykła reakcja tych cudownych kobiet zrekompensowała mi wszystkie trudy mojego zawodu.

Autorstwo tekstu i zdjęcia: Agnieszka Piwar

Źródło: Piwar.info